
Jak się zostawało komunistką, czyli *Tonia i jej dzieci* Marcela Łozińskiego

Bożena Keff

Przed kamerą siedzi rodzeństwo: Wera Lechtman, Marcel Lechtman oraz ich przyjaciel i reżyser filmu, Marcel Łoziński. Dzieci „żydokomuny”, z całym szacunkiem dla niej. To intymny film, w którym widz jest na pozycji świadka kłębowiska pogmatwanych emocji dotyczących najintymniejszych spraw.

Tonia Lechtman, matka dwójki bohaterów filmu, jak obliczyłam, urodziła się w roku 1916, w Łodzi. Wyrzucono ją z gimnazjum, ponieważ poszła w koleżankami na wiec robotniczy, pod jakąś łódzką fabrykę, gdzie doszło do zajść z policją. Została więc przez przestraszoną rodzinę wysłana do Palestyny, która powinna ją wyleczyć z komunizmu. Ale nie wyleczyła i w 1936 r. deportowano Tonię do Francji. Tu spotkała Żyda z Wiednia, komunistę, zakochała się i zaraz zaszła z nim w ciążę. Ukochany pojechał walczyć z faszystami do Hiszpanii, zostawiając Tonię samą w Paryżu. Bez znajomości języka, bez pracy, bez oparcia – mówi Wera, starsza siostra Marcela, który urodził się, kiedy mama znów spotkała tatę, w obozie dla żołnierzy pokonanej strony republikańskiej. Tu zdjęcie Toni i Siomy, ukochanego i ojca dzieci, z dziećmi, na kocyku, na trawie; wiosna i uśmiechy.

W 1941 r. Francuzi wydali Siomę Niemcom, a ci wysłali go do Auschwitz, gdzie zginął. Tonia z dwójką małych dzieci dzięki pewnemu francuskiemu żandarmowi, który miał ludzkie odruchy, przeżyła wojnę we Francji. Tu zdjęcie Toni: włosy ładnie podcięte do pół szyi, w schludnym białym fartuchu pani domu, wózek, dwoje dzieci. W 1945 r. Francuzi wsadzili ją do więzienia, bo w końcu od 1936 r. przebywała we Francji nielegalnie. Jednak matka Marcela Łozińskiego i inne znajome, które w PRL-u z nic nie mogących stały się to i owo mogącymi, zdobyły dla Toni polski paszport i ta, już legalnie, pracowała w amerykańskiej organizacji, która po wojnie pomagała Polakom i Żydom po obozach i innych skrajnych przeżyciach wrócić do Polski, jeśli tego chcieli. Tu zdjęcie Toni: w mundurze amerykańskim, koło dużego samochodu, którym chyba jeździli, pomagając dipisom (*displaced persons*) znaleźć miejsce. W tym czasie dzieci były w jakimś francuskim domu dziecka.

Następnie Tonia znalazła się w Piekarach Śląskich, gdzie pracowała przy organizacji szpitala. Ściągnęła tu dzieci i przez kilka niedługich, szczęśliwszych lat w PRL-u wszyscy mieli tam dom, a ona pracę. Tu kilka fotografii: Tonia ciemnowłosa, szczupła, z ciepłym spojrzeniem i wrażliwym uśmiechem; dzieci w wannie, w ogródku, przy torcie urodzinowym.

Szczęście nie trwało długo – w 1949 r. Tonię aresztowano pod zarzutem szpiegostwa na rzecz USA. Dzieci znów w domu dziecka, gdzie pani wychowawczyni użaliła się nad sobą, że ciągle jej przysyłają dzieci „żydokomuny”. A żeby jakieś inne, porządne, polskie. Więzienie stalinowskie z lat pięćdziesiątych XX w., ze śledczym Światłą było koszmarem, niemniej kiedy Światło uciekł na Zachód, Tonia Lechtman wyszła. Tu zdjęcie Toni z wymęczoną uśmiechniętą twarzą; ma wielkie, rozlane sińce pod oczami.

W pewnym momencie Wera wspomina, że kiedy matka już wyszła z więzienia, pojechali wszyscy troje do kurortu Krynica, odpocząć. Jeden z wielu problemów polegał na tym, że dzieci w domu dziecka nie uczono posługiwania się nożem i widelcem, a matka przez pięć lat więzienia też raczej nie używała sztućców, więc nie bardzo dawali sobie radę w jadalni i jakoś to jedzenie przyskało im z talerzy dookoła. Poza tym Wera kłóciła się z Marcelem, jak mówi, o wszystko, po raz pierwszy w życiu. Napięcie było tak duże, że uciekła z Krynicy z powrotem do domu dziecka. Potem wreszcie Tonia dostała mieszkanie w Warszawie i wzięła dzieci do siebie. Były lata sześćdziesiąte. Wyobrażam sobie tę kobietę po więzieniu, z depresją, która miała w domu dwoje skłóconych nastolatków. Potem jeszcze rok 1968, matka i dorosła córka jadą do Izraela, Marcel do Szwecji. Bez pożegnania z siostrą.

Nie wiem, po jakim, ale po długim czasie spotykają się przed kamerą Marcela Łozińskiego, który dawno temu nakręcił materiał filmowy: rozmowy trzech kobiet, które siedziały razem w więzieniu, czyli Toni i jej dwóch towarzyszek z celi. Tonia spędziła tam pięć lat w jednych majtkach i w tym samym ubraniu, bez grzebienia, z kubłem, który służył i do załatwiania się, i jako umywalka, więc przez pięć lat nie myły głowy, bo się brzydziły – a poza tym: bicie, tortury, dręczenie. Kiedy materiał został nakręcony, film nie mógł powstać, a teraz jest o czymś innym.

Marcel Lechtman po raz pierwszy w życiu czyta niektóre listy matki, jej wspomnienia, zeznania z procesów; przed kamerą dowiadyuje się o jej dziejach i sam uzupełnia elementy historii rodzinnej. Wera wiedziała dużo więcej, była z matką bliżej. W domu dziecka sama została matką swojego brata Marcela i kiedy on ryczał, jak mówi, bo go bito czy mu dokuczano, biegła na pomoc, ale kiedy ją z kolei bito, nikt już na pomoc nie biegł. Martwiła się, że Marcela z domu dziecka wysłano do pracy w kopalni i że nie będzie się uczył, że jest mu zimno, że jest głodny, że to i że owo, i wylądowała na pozycji odwiecznej kobiecej, nudnej, oczywistej, kwoczej, zapewniającej „to co się należy” dziecku, czyli troskę i opiekę w miarę możliwości, podczas gdy o nią samą, choć też była dzieckiem, nie troszczył się pies z kulawą nogą. Wera była nadmiernie dorosła, a Marcel, jak mi się zdaje, nadmiernie niedorośli. I w Krynicy, tam, gdzie nastąpiła kompromitacja wokół noży i widelców, gdzie Wera zaczęła się o wszystko kłócić z Marcelem, musiała poczuć straszny gniew albo zawód – bo już odzyskali matkę i ona sama powinna wreszcie przejść na pozycję dziecka, i to docenionego, ale zdaje się, że mama miała co prawda serce, ale nie miała talentu pedagogicznego. Wera wołała wrócić do domu dziecka, niż zostać z mamą i Marcelem. Strach pomyśleć, jak musiała być samotna i rozczarowana.

A Marcel pozostał na pozycji dziecka, chronionego i osłanianego, któremu nie mówiło się też tych najbardziej drastycznych rzeczy na temat przeżyć matki. A potem jakoś nie był ciekaw. I jakie to znów niezaskakujące, że to chłopiec wyciągnął taki los, a nie dziewczynka. I jakie niezaskakujące, że Tonia płaciła za swoją postawę, przekonania i wartości cenę, jakiej mężczyźni nie płacą. Mężczyznom wolno i wypada zbawiać świat, zostawiając dom na głowach kobiet; kobiety, które chcą poprawiać świat, nie mają komu zostawić domu na głowie i, tak czy inaczej, będą osądzone. Ojciec Wery i Marcela mógł, choć oceniamy to dziś źle, zostawić Tonię samą, w ciąży, bez pracy, bez znajomości języka i pojechać walczyć przeciwko Franco, bo w końcu to nie on był w ciąży, nieprawdaż. A potem, kiedy był w obozie dla internowanych żołnierzy, powiedział matce, że ma zerwać z przyjaciółką, która jest trockistką, choć ta przyjaciółka pomagała Toni, zajmowała się też i *jego* dzieckiem. Pewnie, że jest w tym fanatyzm komunistyczny i autorytaryzm, ale jest też poczucie męskiej, patriarchalnej władzy nad kobietą, która mając wybierać między mężczyzną a przyjaciółką, nie ma przecież żadnego wyboru, i choć jest kobietą tak aktywną, daje mu się przymusić i zaszantażować. Jej słowo ideologiczne i genderowe podwójnie przegrywa z jego ideologicznym posłuszeństwem i genderową dominacją. I potem znów, przy wszystkich cierpieniach, przy całym strasznym losie Toni i przy emancypacyjnych ideach, w które wierzy, powtórka i powielenie – córka na pozycji niańki i opiekunki, a synek jak panicz.

Kiedy jesteśmy przy tym, gdy Tonia wyszła z francuskiego więzienia i, oddawszy dzieci do zakładu, zajęła się pomocą repatriującym się do Polski, Marcel Łoziński pyta, czy nie można było wtedy zbawiać świata, mając jednak dzieci w domu. Ale nikt mu nie odpowiedział: cóż, bez obrazy, sam spróbuj, a dowiesz się. Chyba kobiety dotyczyło to samo albo – albo jak w wypadku mężczyzn, tylko że Tonia nie miała żony.

Oceniać tu nie ma jak. Tonia miała taką, a nie inną, hierarchię wartości i tego się trzymała, bo jak rozumiem, gdyby się nie trzymała, nie wiedziałaaby, kim jest. Pytanie raczej brzmi, czy ona i jej ukochany powinni mieć dzieci? Ale czy wtedy często ludzie wybierali posiadanie dzieci, czy po prostu tak się im zdarzało? Bo raczej się zdarzało. Zwłaszcza że edukacja miłosno-seksualna Toni zaczęła się i skończyła na Leninie (rozzulająca i pełna grozy to opowieść). Inne też niż dziś były standardy opieki i postępowania z dziećmi. I zupełnie inna potrzeba emancypacji: i społecznej, i płciowej.

Opowieść o życiu Toni Lechtman i jej dzieci, strasznie trudnym i dramatycznym, i tak skończyła się nienajgorzej, bo w Izraelu i w Szwecji, więc bezpiecznie. Ale jest w niej jeden wielki nieobecny wątek. A nawet nie wątek, ale raczej grunt, z którego cała ta historia wyrastała, czyli rzeczywistość, w jakiej Tonia dorastała: te Bałuty lat trzydziestych, tamta niewyobrażalna dziś nędza, niesprawiedliwość społeczna, ci ludzie z elit z feudalną mentalnością i empatią dużo mniejszą niż ma przeciętny krokodyl; te nieszczęścia i udręki biedy, szczególnie tej żydowskiej, przeogromnej, to wszystko, o czym dziś mało kto chce mówić, bo dziś racje są inne, a głównie mity są inne. Wtedy jednak nie każdy mógł i umiał patrzeć na to, jak na niezmiennie *status quo* społeczne. Więc cała tamta rzeczywistość i reakcja Toni na nią były początkiem i powodem.

Ale opowieść o tym początku brzmi dziś inaczej i bywa szalenie fantazyjna. Może na przykład brzmieć tak: przed wojną było normalnie i dobrze. Zwykła rodzina miała dom, ogródek, kucharkę i praczkę. Te kucharki i praczki też miały swoje domki i ogródki, choć skromniejsze, i swoją służącą. Ta służąca z kolei miała raczej mieszkanie w bloku i pralkę, bo nie stać jej było na praczkę. Wieczorami niektórzy z tych ludzi spotykali się w kawiarniach. Tam paląc papierosy i popijając alkohole, wśród dyskusji wysoce abstrakcyjnych, zostawali komunistami.

Tonia i jej dzieci, 2011. Reżyseria: Marcel Łoziński.